Kacper

Biegł tuż przed nią, czasem przystając i ocierając się o gołe łydki. Zawsze w wolny od pracy dzień wychodzili na dłuższe spacery, po których zmęczeni i wyczerpani wspólną zabawą kładli się razem. Ona na wersalce przykryta kocem. On w jej nogach. Skulony i cichy, niekiedy tylko określający kształt jej bosych stóp swym wilgotnym szorstkim jęzorem. Było im w tej ciszy tak dobrze, że dopiero gdy żołądek upominał się o swoje prawa, wstawali. To znaczy on pierwszy czując przebudzenie, przeciągał się złażąc z łóżka, biegł do kuchni i czekał warując przy lodówce. Ona wchodziła chwilę potem lecz najpierw stojąc przed lustrem w łazience poprawiała i rozczesywała potargane kasztanowe włosy.

Dziś byli już dość długo, szli szeroką asfaltową aleją wlokąc za sobą swoje długie czarne cienie. Zupełnie nie zwracała na niego uwagi, była jakaś obca, A pamiętam, że kiedyś gdy choć na chwile zatrzymał się przy jakiejś suce, ostre i twarde – Kacper! – przyprowadzało go do porządku. Teraz była zupełnie inna. Chciał coś zrobić jakoś jej pomóc. Łasił się, szczekał, skomlał, był cicho. Ale to na nic. Nigdy dotąd tak nie było, żeby go odepchnęła. Nauczył się przecież być jej posłusznym. Chodził przy nodze. Aportował. Siadał. Warował. Pilnował. Bronił. Słuchał gdy była smutna i za każdym razem, gdy nawet skarcony słyszał jej głos, cieszył się jak roczny szczeniak i bez pamięci merdał ogonem. Wiedział kiedy to ona właśnie jedzie windą, kiedy otwiera drzwi i on, już przy niej szalejący z radości, skaczący aż do twarzy.

Często bawili się w chowanego, była to jej ulubiona zabawa i teraz właśnie Kacprowi przyszła jej myśl. Pobiegł w stronę drzew i za jednym z nich przystając szczekał donośnie. Szczekał i czekał. Szczekał i czekał. Wyjrzał zza pnia ale jej nie było. Rozejrzał się wokół i dopiero po chwili dostrzegł jak szybkim, spiesznym krokiem przemierza jezdnię. Była już po drugiej stronie gdy puścił się pędem. Ufny. Na oślep. Gnany wiernością i przywiązaniem, może tylko nieco zdziwiony, że nigdy dotąd w ten sposób się nie bawili.

Głuchy jęk, czyjś okrzyk przerażenia i brzęk tłuczonego reflektora wdarł się w gwar wypełnionej przechodniami ulicy.

- To głupi kundel!
- Czyj to pies?
- Jeszcze się rusza
- A może on wściekły?
- E, już nic z niego nie będzie.

Lecz jednak ktoś podszedł, podniósł upaprany we krwi łeb, wyjął z kieszeni chusteczkę i coś mówił ...
Coś czego już on nie rozumiał. Patrzył na tamtą stronę ulicy. Ciągnął wzrokiem za oddalającą się postacią i widział jeszcze jak rzemień, na którym wychodził na dwór, którym był karcony - wpadł do przystankowego śmietnika.